

# Pierwsza podróż „Pourquoi Pas?”

(Przed paroma dniami zatonął u wybrzeży Islandii najlepszy wyposażony do podróży polarnych statek naukowy „Pourquoi Pas?” („Dlaczego nie?”) wraz z całą załogą i z kierownikiem ekspedycji drem Charcotem. Piękno i niebezpieczeństwo życia jednego z największych podróżników podbiegunowych świata obrazują poniższe fragmenty dziennika uczestnika pierwszej podróży słynnego „Pourquoi Pas?” — majora M. Y. Rouch'a).

22 grudnia 1908. Krople deszczu przez dwa dni szarą mgłą zasłaniały horyzont. Potem wiatr i morze uspokoiły się. Lekko sfalowana biała — zielona toń pozwala nam obserwować horyzont.

## To wspaniałe

Tego rana o szóstej błękitna piramida wyspy Smitha, jeszcze tonąca w oparach, które niezupełnie się rozproszyły, pojawia się wprost przed nami. W parę godzin później mogliśmy podziwiać na tle przeczystego nieba rozmaite odcienie jej ośnieżonych szczytów. Potem wyspa Snowa, okolona pasem czarnych, ostro zakończonych skał podwodnych; wyspa Rugged, bezkształtna gmatwani na zębatych wierzchołków; Livingstonie z błyszczącymi błękitnymi glezcerami; Low, regularna kopułka lodowca — a także na południu, przednia straż Antarktydy: wyspy Hoscason, Liège, Triumf.

Było to jakby zaczerpnięcie węża do legendarnej świątyni. Nie sposób oddać słowami subtelnych odcieni układających się w gamę barw od złoconych wierzchołków, z których spływają przeczyste pochyłości, aż do lodowych skał nadmorskich, jaśniejących głębokim błękitem w szczytach.

Powtarzamy: „To wspaniałe!” I jest to w istocie tak piękne, pięknością tak niezwykłą, że nie jesteśmy zdolni wyrazić zachwytu określeniami. Rozumiemy teraz czar, jaki rozciągają te lodowe krainy, czar, który sprawia, że kto je raz widział, marzy o tem by do nich znów powrócić.

## Wspomnienia

Ja sam ulegam zdumieniu. Nigdy nie myślałem, że ziemię tę leżą tak blisko od nas. Jakże, toż to przecie już wyspa Hoscason, która wznosi przed nami świątynię piramidy przylądka Possession; a tam znów cieśnina Gerlach; to są te różowe grzbiety górskie, ziemię, które odkrył Dumont d'Urville i które niedawno badał Nordenskjöld; o niespełna dzień drogi stąd, wyspa Wandel, przy której Charcot zimował na statku „Français” w 1905. A przecie jesteśmy zaledwie o cztery dni od przylądka Horn, cztery dni drogi na naszym małym statku.

Tak bliskie są te ziemie, a tak tajemnicze!

Majestatyczne i wspaniałe góry lodowe, drażnione w lazurowe groty, które w zielonem spokojnem morzu odbijają swe piękno, fantastyczne budowle z białego marmuru, defilują koło nas, a w oddali jeży się szereg ostrych białych wierzchołków. Wieloryby mijają nas, sapiąc, albo zanurzają się, unosząc powoli nad wodą swe ciężkie ogony; samotne skały ostro zarysowują swe dziwaczne

sylwetki na tle nieba. Pingwiny śpiesznie dążą do brzegu, podobne małym delfinom, uciekającym od nieprzyjaciela; ostatnie ptaki unoszą się, krzycząc nad statkiem. Przed nami wyspa Zwodnicza wznosi swe zbocza pokryte śniegiem, z pod którego sterczą różowawe skały. W złotem świetle niekończącego się dnia, cała Antarktyda staje przed naszymi oczami.

## Katastrofa 7 stycznia. Północ

Pędź, dzielny mój okręcie, roztrącając na prawo i lewo lody! Pędź naprzód! Kawałki błękitnego lodu, twarde jak skały, ocierają się o twe burtę, ścierając czerwienią farby i wciągając ją w wir! Gardź niemi! Gardź szmerem spienionych fal i małemi kawałkami lodu, które rozbijają się o twe boki — jesteś od nich silniejszy, jesteś ich panem!

Co? Ta lawica śnieżna zbyt grubą dla ciebie, wahasz się, zatrzymujesz się? Mocno, silniej, całą parą. Drżysz cały, nie bój się, jesteś mocny.

Wcisnąj się w szpary, rozpychając lody, całym swoim ciężarem prac naprzód! Przerazone, choć ciekawe pingwiny szybko uciekają z kry na widok ciebie, kapryśnego olbrzyma, rzucając się w morze.

Z pod pokładu słychać śmiechy, radość z odnalezienia ich (wych i całych \*), unosi się śmiechem. Ach! te chwile szczęścia tak wielkiego, że życie wydaje się potężnie w dwójnasób! Naprzód, dzielny statku, można na ciebie liczyć!

Ale cóż to... ten wstrząs... Trochę za duży ten kawał lodu, twój kadłub drży jeszcze i o mało co nie zostaliśmy wyrzuceni za burtę.

Cóż to?... Zatrzymujesz się? Niema przecie lodu przed nami! W tył, w tył, w tył!

Nieszczęście! Głębokość na skale...

## Fatalna skała

Fatalna skała była na dwa metry pod wodą, czyhała na nas!

Czyhała na zdobycz, przydybala nas w biegu. Wychylił na przód, dostrzegamy jej krągłe kształty, szczytyny pełne alg, śmieją się do nas szyderczo.

Fala wpędziła nas na nią, wyrwijając część naszego kila i drzazgi unoszą się na wodne koło statku, niepokojące szczytki. Za dobrze się zapowiadał ten powrót bez żadnego wypadku i los, który igra z nami od paru dni, chował dla nas ten ostatni cios.

Jesteśmy dopiero od dwóch dni wśród lodów i ten przeklęty kraj zawziął się na nas, usiłując nas zniszczyć na wszelki możliwy sposób. Nie dostał nas jeszcze! Ale już koniec, już nigdy nie poddam się niebezpiecznemu czarowi jego magicznych barw, nie będę podziwiał bezkrytycznie, czarownych kształtów lodowych rzeźb, już ko niec — ten kraj jest pełen grozy. Ta natura tak obca, jest nam wroga; jej jałowość i nagość powięk-

\*) Charcot i dwóch jego towarzyszy błędzi kilka dni wśród śniegów.

sają nasze zgrzyoty. Natura nie pociesza tutaj, lecz miazdzy.

## Wśród lodów 9 stycznia

Przytępił minął i ciągle jesteśmy uwięzieni na kontynencie Antarktydy. Ale walka, którą musimy toczyć, wzmogła nasze siły i niepowodzenia nie zniechęcają nas. Czyż to nie dzisiaj potrzeba jemu całej energii i całej mocy nadziei? Poco zniechęcać się mowieniem o zmarnowanym dziele, o skończonej karierze? Przecież ekspedycja jest w lepszych warunkach niż przedwczoraj, kiedyś myśleli, że trzeba będzie wyczerpywać się w jałowym poszukiwaniu trzech ludzi. Dziś, to tylko normalny wypadek, ciężki bez wątpienia, ale nie należący do nieprzewidywanych.

Tak więc prawie wesoło, jakby nasz statek był normalnie zakotwiczony, podczas gdy załoga przebiega ładunek, aby uczynić dzień lepszych, większość z nas wyszła na ląd, aby lepiej zbadać przylądek luzem i zakończyć rozpoczęte obserwacje.

Z pagórka lodowego, na który wszedłem, dostrzegam w dole całkiem blisko nasz „Pourquoi Pas?” odciążony z przodu, z rufą całkiem prawie skrytą pod wodą, prosty jednak i wcale nie rozpaczliwie się przedstawiający.

Ależ oczywiście, uratujemy go, nawet nam przez głowę nie przejdzie, że trzeba go opuścić, — bez troski prowadzę dalej obserwacje.

Dostrzegam także pagórek, który trzeba było przejść owego dnia, kiedy szukaliśmy Charcota. Przypominam sobie przykre uczucie bezsilności i widzę znowu siebie zanurzonego po pas w śniegu, a nad mą głową złowroźnie płynące chmury.

...Dyspozycje wydane. Tył statku jest prawie zupełnie zanurzony, morze jest w najwyższym punkcie przypływu.

Nadszedł moment działania i nadziei. Na dziobie, gdzie jest mój posterunek, żartujemy, drwimy ze skał, kłniemy...

Maszyna pcha w tył, coraz prędzej w tył, coraz prędzej. Cały statek drży, omasztowanie wibruje, liny płaskają o siebie wzajem. Nic nie wychodzi.

Naprawdę więc! Próbuujemy zatkać dziurę, obrócić się dookoła osi. Kawałki kila wypływają na powierzchnię, kręcąc się od uderzeń śrub.

W tył!... Na przód!... W tył!... Jesteśmy niestrudzeni, żartujemy jeszcze, ale przychodzi chwila niepokojów...

Trzeba wszystko postawić na kartę, obciążyć kotły groźną w bucham, pędzić śrubę w tył szybciej niż kiedykolwiek się obrać.

Statek drży tak, że wydaje się, jakby miał się rozłupać. Mamy wrażenie, że za chwilę tył statku odpadnie. I nagle czujemy zęśliż, słyszymy trzask małych kawałków miazdzonego drzewa.

## Uratowani

Przechylamy się przez burtę i wszyscy wykrzykują: „Idzie...” Ześlizguje się, ześlizguje się całkiem, oddala się w tył, szybko,

szybko ciągnąc za sobą łańcuchy zarzucone aż do skał. Rzućmy się pod pokład; ani kropelki wody! Dziób jest naruszony, ale mocny jeszcze i gratulujemy Bougrainowi, który pokierował z taką zręcznością tym trudnym manewrem.

„Ktoś pyta się, która godzina: — Druga.

— Druga w nocy, czy druga popołudniu?

I w tym niekończącym się szarym dniu, po tylu rozmaitych przejściach, musimy się zastanowić chwilę, by odpowiedzieć: — Druga w nocy.

J. Rouch.

# Historia się powtarza

Wszyscy mamy jeszcze w pamięci dramatyczny wypadek w ambasadzie hiszpańskiej w Rzymie. Tam właśnie mianowany przez rząd madrycki przedstawiciel zmuszony został pod groźbą rewolweru przez personel ambasad do podpisania prośby o dymisję.

Nie był to jednak w świecie dyplomatycznym wypadek odo-sobniony, coś podobnego bowiem wydarzyło się w drugiej połowie XVII stulecia. Rzecz działa się w Hiszpanii, ale dotyczyła dyplomatów angielskiego.

Ówczesny dyktator Anglii, Cromwell, postanowił zmienić wszystkich ambasadorów w stoli-

cach europejskich i na ich miejsce mianować oddanych sobie ludzi. M. in. ambasadorem w Madrycie miał zostać przyjaciel dyktatora, Ascham.

Ledwie jednak nowy ambasador objął swe stanowisko, został zamordowany w siedzibie ambasady przez oddanych królowi urzędników tejże ambasady. Mordercy uciekli i schronili się do świątyni. Filip IV, ówczesny król Hiszpanii, zgodził się dać jedno tylko zadość uczynienie za zamordowanie angielskiego ambasadora: skazał mianowicie na śmierć tego tylko mordercę, który był protestantem.

# Arab u „króla północy” Mieszka Pierwszego

Z niezwykle interesującej książki p. M. Smolarskiego p. t. „Dawna Polska w opisach podróżników” podajemy z kolei drugi fragment. Pierwszy zamieściliśmy w sobotę p. t. „Zalut się się nie urodził Polakiem”.

Pierwszym podróżnikiem, który opisał Polskę, był wędrowiec z kraju Maurów, który odwiedził ją niemal przed tysiącem lat. O tem co się działo wówczas na słowiańskich ziemiach mało mówią nawet kronikarze. Już wówczas jednak szeroko rozchodziły się wieści o wielkiem państwie, które jego władca, Mieszko, miał wkrótce włączyć w krąg zachodniej cywilizacji, obalając stare bogi i rozniecając pochodnie chrześcijaństwa.

Wówczas Ibrahim Ibn Jakób po szczęśliwym powrocie z uciążliwej podróży zdawał z niej sprawę Kalifowi i wspominał też o tajemniczym, odległym kraju, który musiał bardzo zainteresować współczesnych uczonych. Wiemy o tem z arabskiego rękopisu sławnego w XI wieku Abn Obeida Abdallastra Al Beciego, który włączył w swe dzieło „Drogi i okolice” także wiadomości o Słowianach, których mu dostarczył śmiały wędrowiec.

## Praga w XI wieku

Ibrahim Ibn Jakób wiosną 965 roku przepłynął morze Adriatyckie, podążył potem w stronę Alp, przebył je i udał się do Pragi. Miał o niej słnać ze słyszenia gorsze wyobrażenia, gdyż zaznaczył z uznaniem, że domy w niej były nie z drzewa, ale z wapna i kamienia, zdziwił się też, widząc niebyłobyjakie uzbrojenie rycerzy, którzy nosili wszyscy szyszak, pancerz i miecz.

Jako człowiek obdarzony umysłem trzeźwym i badawczym nie zaniebyszał zbadania handlowej koniunktury, zauważył więc, że w Czechach jest koni poddostatkiem, a obok tego wyrabianych na miejscu siodeł, szyszaków i lekkich chustek. Zapisał w swej pamięci nazwisko króla Bolesława i pospieszył w dalszą drogę, najpierw do cesarza Ottona do Magdeburga, stamtąd do Waku, króla Obotrytów, wytyczonych

później i zalanych powodzią niemieckimi. Przybył wreszcie do kraju Mieszka, „króla Północy”, do państwa „wielkiego między słowiańskimi”.

## Podróże za Mieszka

Choć był cudzoziemcem, nie powinien był zwracać na siebie zbytnej uwagi gdyż ruch podróży był wówczas wcale ożywiony. Sam przecież opowiadał Kalifowi, iż od strony Krakowa do Pragi przychodzili z towarami „Rusowe i Słowianie, Muzułmanie, Żydzi i Turkowie”. Skoro tak licznie i jednakowemi drogami śpieszyli wędrowcy, musiały wśród puszcz istnieć jakieś trakty. Podróżni jednak zarówno wtedy jak w parę wieków później, nie wiele mieli wymagań. Żyli z naturą, nocowali najczęściej pod gołym niebem, nie obawiali się deszczu ani burzy. Przeprowadzono ich może nawet tu i owdzie gościnnie z miejsca na miejsce, jak mieli czynić Słowianie według starszej prawdy o trzy wieki relacji cesarza Maurycego. Ożywiony ruch świadczy, że stosunki bezpieczeństwa nie były najgorsze.

## Kraj potężny i bogaty

Ibrahim w nagrodę za znużenie i trudy oglądał ciekawe kraje i ludy, z których niejedną już nie istnieje. Zobaczył Polskę pogańską, o której wiemy tak niewiele. Zwiędził zapewne niejedną ze świątyń, opisanych przez Dytmarę, których bramy dla wszystkich stały otworem. Spotkał się miał, może miał rozmawiać z pierwszym polskim władcą, o którym szerzej rozpisala się historia. Poznał niechybnie, że ma do czynienia z mężem rycerskim, który rządy swe pędził wśród wojen, lecz wytrwał wśród niebezpieczeństw bystry, zręczny i rozumny.

Kraj wydał mu się bogatym. Widział w nim obfitość chleba, miodu, mięsa i zwierzyny. Zaciekawili go źródła dochodów dworu monarszego. Jak opowiadał potem, Mieszko pobierał podatki w nieznanych nam dzisiaj mitkach bizantyńskich, a niemają słnać dostawał ich od poddanych, gdyż kosztem swoim utrzymywał,

uzbrajał i wyposażał wielką liczbę przedniejszych wojowników, z których każdy przypadał na dziesięciu zwykłych żołnierzy. Pozostawił także wiadomość, iż na zachód od kraju Rusów, a zatem prawdopodobnie w Polsce, był gród bardzo niezwykajny. Rządy nad nim, ziemią i niewolnikami sprawowały wyłącznie kobiety, śmiałe, dzielne, jeżdżące konno i nie lękające się walki orężnej.

## Tajemnicze amazonki

Podatki płacone w monecie bizantyńskiej a nie w naturze jak się rzecz miała w większości ówczesnych państw, — tajemniczy gród kobiet władających dzielnie orężem, tak podobnych od popularynych w opowieściach podróżnych Amazonek budziły jeszcze większe obiekcje. Czy więc Ibrahim widział na własne oczy to co opowiadał, czy też pragnąc się pochwalić zwiedzeniem niezwykłego wówczas kraju opowiedział to co słyszał w Czechach od przybywających z Polski kupców? Trudno wydać sąd pewny. Pozostanie nam tylko scena w świetnej naonczas maurytańskiej Kardiobie gdzie w jednej z sal zamku wzniesionego już przed dwustu laty nad brzegiem Gwałdkwiwru stał wędrowiec przed wspaniałym, potężnym Kalifem Al Motasinem, pośród dworzan, uczonych i poetów i opowiadał mu o wielkiej, zasobnej Polsce.

**ELEKTRYCZNY**  
odkurzac zapewnia  
czystość mieszkania

Antoni i Marja Bechczyc-Rudniccy

# FRONTEM KU WSZY

Nowela z życia sowieckiego

Pobiegłam ci ja wtedy do kuchennych drzwi. Targam... Też zamknięte i klucza nie ma, mówi niechętnie Duńka.

— Jak mysz w pułapce! — rzechoce Saszka i piasnął Duńkę po udzie.

Choć piasnął z bólu, bo trzepnął z całej siły, poweselała Duńka. Zarumieniła się.

— Iście, — mówi, — jak w pułapce byłam. Boć przecie nie wiem, czy do tej apteki daleko, czy blisko. Żebym nawet chciała rzeczy w szafie po dawnemu ułożyć, tobym nie potrafiła, bo rwałam, nie patrząc. Zarazby poznała, że grzebałam... Ażem się spościła, że mnie milicjantowi odda.

— Rzućcie tam tłumok przy szafie, a sama się miotam od jednych drzwi do drugich, jak głupia... Zamekbym zębami gryzła...

— A okno? — pyta Saszka.

— Mówię, że całkiem zgłupiałam ze strachu! Przecie widziałam nawet, że nisko, bo jak mnie wiodła do siebie, to ledwie trzy schodki było...

— Spralaby cię tego, żeby tak do domu wróciła!

— Nie inaczej, jakby spralą, — potwierdza Duńka. — Ale nie tyle jej bicia bała, bom bicia zwyczajna, macocha uczyła... Mówię wam, to cholera była, że drugiej takiej cholery nie znajdziecie, jak świat szeroki! A już kiedy ją ojciec rzucił, waliła mnie za byle co i czem się zdarzy...

Saszka przez zęby cyknął i wstał.

— Skończysz ty raz? — pyta, wykrzywiając gębę. — Mnie aż

kiszki skręca, a ona jeszcze macochę przypliotła... No, jak tam było do licha z tym oknem?

— Nic. Dobrze. Okno w kuchni na sad wychodziło. Wyjrzałam... Nikogo. Tedy hyc... Pierwszy tłumok, potem sama...

— Nie zatrzymał cię nikt, kiedyś szła? — dziwi się Mieszka rudy.

— W bramie jeden tam pytał, co niosę. A ja mu na to, że mnie matka tu na drugie piętro po bieliznę do prania przysłała, bo sama nie mogła iść, na szkło bosą nogą stąpiła. On nic, machnął tylko ręką, bym sobie szła dalej...

— Dobrze, że ci macocha biła, kłamać uczyła. — rzecze Saszka i klepnął ją po plecach. Potem kucnął nad rozwiązany tłumokiem. — Hej, chłopcy! Mówcie, co na targ brać?

Och, dobrze im potem było! Jedli do syta, pili, bo Saszka i samogonu dwie flachy dostał od chłopów za lustro. Papierosy też śmili i nie machorke, a gotowe w pudełkach. Na pudełku napis: „Komsarskij”. Dobre, lekkie, że i dziewczuchy próbowały.

A mieszkali całą gromadą w lochu, na pustkowi. Był tam przód dom stary, gospodarz go zburzył, kazął, bo chciał na to miejsce nowy postawić, większy. Aż tu na kapitalistów i posiadaczy krysa przyszła i ten gospodarz, ludzie tak gadali, zagranicę uciekli do burżujów. Złoto, srebro wywiozł i tam żył, nie wracał. Na pustkowi tylko gruz został.

Na wiosnę milicjant jeden Saszke gońił. Za co wiadomo... No, ale Saszka pustkowie to znał dokumentnie, bo nieraz tu spiał. Więc i teraz przelał przez dziurę w płocie i za zwałami zaczął się i jeszcze się cęgliami okładał aby go z góry nie było widać... Wybrał cęgli co większe aż pod cęgliami dziurę wygrzebał. Wlał do tej dziury, widzi loch wielki pusty. Tedy, że bezdomny był, to zamieszkał, a i innych chłopaków do siebie puścił. Za starszymi chłopakami przyszli i dziewczyny dwie. Tak w dziewięciu tu żyli. Komuna u nich, a nad wszystkimi Saszka starosta.

Starosta ten nie tutejszy był, nie moskiewski, a ze starej stolicy, z Petrogradu. Ojca ani matki nigdy na oczy nie widział. U kobiety jednej wychował się i mówiła ta kobieta, jak podrośł, że ojciec Szaszki to wielki pan, że pieniędzy pełne kufry ma i na nich

śpi, bo się złodziei obawia... Potem, kiedy ojciec wraz z kuframi gdzieś zaprzepadł, babie tej pieniądze przestał dawać, wygnana baba Saszke z domu, choć to już późna jesień była... Po ulicach się głodny walała, aż Gryszkę spotkał i nauczył go Gryszka torebki paniosom z rąk wydierać. Później pojechali do Moskwy, bo się nasłuchali, niby w Moskwie wszystkiego dostanie i ludzie bogato tam żyją.

Tak zimę przebiegowali, jak i inne chłopaki. śpiąc gdzie się dało. Na wiosnę poszli z Gryszą na dworzec walizy kraść i dotąd kradli, aż Gryszkę schwytano. Bili go ludzie, że strach, a potem skrwawionego do milicji powlekli. Tyle Saszka Gryszkę widział. Pewnie go gdzie utrupili...

Nieraz w nocy, leżąc w lochu wspominał Gryszkę. Dobry był towarzysz. Zeby nie on, toby Saszka w zimie z głodu zdechł...

Loch był wielki i miał dwa wyjścia. Chociażby jedno znaleźli milicjanci, drugim uciec można. Miejsce dobre. Jednak zimy się bali: przecie ognia palić nie będą, dymby ich zdradził.

— Jak śnieg przyprószy, będzie ciepło, — zapewniał starosta. — Zawsze lepiej, niż pod płotem.

A Wańka niedojda wdycha:

— Ot żeby słomy dostać. W słomie ciepło, jeśli kupą spać.

— A noś słomę, ja ci nie bronię! — szczyrzy zęby starosta.

Bo gdzie też było słomy dostać!

Marli ludzie, jak muchy, tysiącami. W szpitalach, w domach, w wagonach i wprost na ulicy. Ledwie nadążyli ciężarowcami trupy za miasto wywozić i tam grzebać w wielkich jamach. Układano trupy jak śledzie w beczce, przysypywane ziemią cienko, że wiatr smród trupi szeroko roznosił. Głodne psy nocami na mogiłach wyl.

Wszystkiemu, mówili doktorzy, wesz winna. Może i prawda, ale co na to poradzi? Mała ona, ale jej wiele. Przecie od czasu, jak ludzie na świecie żyją, na ludziach jest wesz, a choć ją biją, wciąż jej pełno. Tak było, tak być musi. Dopiero gdy umrze ostatni człowiek, przepadnie i wesz.

(D. c. n.)